Nr. 39. Sobota dnia 27-go września 1913.

Gość Świąteczny.

Bezpłatny dodatek.

Na niedzielę dwudziestą po Ziel. Świątkach.

LEKCYA

z listu św. Pawła do Efezów rozdz. V, w. 15—21.

Bracia! patrzcież tedy, abyście ostrożnie chodzili: nie jako nierozumni, ale jako mądrzy, czas okupując, gdyż dni złe są. A przetoż nie bądźcie nierozsądnymi, ale rozumiejącymi, która jest wola Boga. A nieupijajcie się winem, w którem jest nieczystość, ale bądźcie napełnieni Duchem świętym, rozprawiając sobie w psalmach i pieśniach i w śpiewaniach duchownych, śpiewając i grając w sercach waszych Panu. Dziękując zawsze za wszystko w imię Pana naszego, Jezusa Chrystusa, Bogu i Ojcu, będąc poddanymi jedni drugim w bojaźni Chrystusowej.

EWANGELIA

u św. Jana rozdział IV, wiersz 46—53.

W owym czasie był pewien królik, którego syn chorował w Kafarnaum. Ten, gdy usłyszał, iż Jezus przyszedł z Żydowskiej ziemi do Galilei, poszedł do Niego i prosił Go, aby zstąpił i uzdrowił syna jego, bo poczynał umierać. Rzekł tedy do niego Jezus: Jeśli znaków i cudów nie ujrzycie, nie wierzycie. Rzekł do niego królik: Panie! zstąp pierwej, niż umrze syn mój. Rzekł mu Jezus: Idź, syn twój żyje. Uwierzył człowiek mowie, którą mu powiedział Jezus i poszedł. A gdy już był zstępował, zabieżeli mu słudzy i oznajmili mówiąc, iż syn jego żyje. Pytał się tedy od nich godziny, której mu się polepszyło, i rzekli mu, iż wczoraj o siódmej godzinie gorączka go opuściła. Poznał tedy ojciec, iż owa godzina była, której mu rzekł Jezus: Syn twój żyje. I uwierzył sam i wszystek dom jego.

NAUKA.

Czemu to nawiedza nas Bóg utrapieniami?

„I uwierzył sam i wszystek dom jego“.

Nieraz się ludzie temu dziwują, że Bóg ich utrapieniem nawiedza. Mówią sobie nieraz: za co przecie tak srodze karze mnie Bóg? cóżem zawinił, że ręka Pańska tak mnie ciężko dotyka? Toć i ten królik tak samo pewnie narzekał, kiedy mu syn jego ciężko zachorował, kiedy poczynał nawet umierać. A jednak przekonał się potem, że ten krzyż włożył Bóg z miłości na niego, bo krzyż ten, to utrapienie, do Jezusa Pana i do wiary go przyprowadziło. Inaczej byłby zmarniał, w pogaństwie swojem.

I między nami niema nikogo, któregoby utrapieniem Bóg nie nawiedzał. Nie tylko po chatach stękają od bólów ludziska, ale tak samo i po pałacach. I dziś, jak i dawniej, sprawdzają się wyraźnie te słowa: „człowiek urodzony z niewiasty, żyjąc przez czas krótki, napełnion bywa wielą nędz“ (Job 14, 1). Kara to za grzech pierworodny, ale i za te grzechy, które popełniamy sami. Cóż więc, czy dobrze to dla nas? czy Bóg dobrze czyni, że nas tu biczuje? Wiedz bowiem, że Pan Bóg nie ma w tem żadnej przyjemności łzy z twoich oczu wyciskać, jeżeli więc karze nas kiedy, to jedynie dla dobra naszego. Jakież to przecie ma Bóg zamiary, kiedy na nas zsyła utrapienia?

Pragnie przedewszystkiem, abyśmy tak podobnymi się stali Jezusowi Panu. Życie bowiem P. Jezusa, to życie krzyża od kolebki aż do grobu. Spojrzyj nań w betleemskiej stajence; tam On drży, cały od zimna. Przypatrz Mu się na Jego wygnaniu w Egipcie, tam nie ma On kącika Swojego. A potem żyje w pracy Zbawiciel nasz i w nędzy wielkiej, że mówi o sobie: „liszki mają jamy i ptacy niebiescy gniazda, a syn człowieczy nie ma, gdzieby głowę skłonił“ (Mat. 8, 20). A kiedy wszerz i wzdłuż przeszedł już krainę żydowską, kiedy w każdym jej kąciku opowiedział Boską Swą naukę, kiedy tysiące chorych uzdrowił, krzyż wtedy włożono na ramiona Jego, pomiędzy łotry Go policzono. Powiedz, czyś od Pana Jezusa więcej utrapiony? Całe życie Jego, to jeden krzyż wielki i ciężki bardzo. Otóż i ciebie krzyżem Bóg nieraz przygniata, abyś się Jezusowi Panu stał przez to podobnym. Chwała to wielka i honor to przesławny. Pismo św. mówi: „błogosławiony człowiek, którego Bóg karze“ (Job 5, 17). Naprawdę, stokroć on błogosławiony, bo tak obraz cierpiącego Jezusa na sobie wyraża. Przez krzyż, przez swoje cierpienia, on pokrewnym się staje samemu Jezusowi Panu.

A potem pomyślmy sobie, coby to z nas było, gdyby nam słońce szczęścia zawsze przyświecało. Widzisz przecie, jaki to pyszny ten człowiek, jaki twardy, jaki zuchwały, któremu się bez końca dobrze powodzi. Bez kija ani przystąpić do niego, szczęście go bowiem pychą nadęło, zrobiło go zarozumiałym, serce mu odebrało na ludzką niedolę. Szczęście zazwyczaj i rozum człowiekowi odbiera, że już i o Boga nie stoi. Przypomnijmy sobie bogacza ewangelicznego. Nie stał on o Pana Boga, bogiem jego zresztą był brzuch, któremu on na wszystkie sposoby dogadzał. Ale i pysze jego nie było końca. Stroił się przecie w purpurę i w bisior i rad nizkie odbierał pokłony od przyjaciół swoich, których na każdy dzień obficie u siebie ugaszczał. Ubogiego zaś Łazarza nie chciał i na oczy widzieć, żałował mu tych okruszyn nawet, co ze stołu jego spadały. Tak mu serce jego stwardniało. I serce i głowę przewróciło mu szczęście jego zupełnie.

A człowiek, utrapieniem nękany, wygląda całkiem inaczej. Czy chorobą, czy inną niedolą człowiek złamany, poznaje dokładnie całą nicość swoją. Jakiż on sam przed sobą malutki, jaki słaby i nieudolny. Jam ten kwiat polny, co dziś jest, a jutro usycha, mówi on o sobie. Jam ta pajęczyna, którą i mała dziecina przerywa. Bo wtedy wchodzi on w siebie i sobie się bliżej przypatruje i poznaje, że niczem jest, jeśli go nie podeprze prawica Boża.

i pokory się uczy. I ten jest największy z utrapienia pożytek, że robi człowieka pokornym. A pokornym Bóg łaskę dawa, a z pokorą dobro wszelakie wchodzi w duszę naszą. Powiedzcie, proszę, czy nie dobrze Bóg czyni, kiedy nas nawiedza? kiedy nas pokornymi czyni przez utrapienia? — Tak spokorniał św. Ignacy Loyola. Był on z początku rycerzem dumnym i hardym, że miał męstwa wiele. Stało się, że na wojnie kula go ciężko zraniła, i rzuciła na łoże boleści. I wtedy tak on spokorniał, że i do nieba się dostał.

Największą do zbawienia przeszkodą jest nam przywiązanie do świata, do jego dostatków, rozkoszy, honorów. I człowiek, w szczęście bogaty, świat ten zazwyczaj nad Boga przenosi. Niechno jednak włoży Bóg krzyż jaki na niego, niech mu dostatki jego odejmie, niech dopuści, że języki złe zaczną szarpać sławę jego, a wtedy i w głowie i w duszy jego wnet mu się rozjaśnia. Wnet powiada on wtedy: marność nad marnościami, i serce swoje od świata odrywa. Cóż więc? czy nie powtórzyć nam za Psalmistą te słowa: „Dobrze, Panie, iżeś mnie uniżył, abym się nauczył sprawiedliwości Twoich" (Ps. 118, 71). Dobrze mi, żeś mnie przetrzepał Twą rózgą, bo teraz dusza moja oderwana od świata, na skrzydłach miłości do Ciebie, Boże, się wznosi. Tą drogą do nieba zaprowadził Bóg św. Elżbietę, córkę Andrzeja, króla węgierskiego. Była ona dla ubogich wielce miłosierną, szpital nawet swoim kosztem wystawiła dla chorych. Jakże jej świat za to się odpłacił? Wydarto jej najpierw całą jej majętność, wyrzucono ją potem z jej własnego mieszkania, osławiono jeszcze najpodlejszą potwarzą przed ludźmi. Kiedy zaniemogła, nie przyjęto jej nawet do jej szpitala. Wtedy to właśnie całe serce jej do Boga się zwróciło, obrzydziwszy sobie ten świat, dostatki i rozkosze i honory jego.

A zresztą, jakże nas niema Bóg chłostać, kiedyśmy Go tak wiele razy ciężko obrazili? Przejdź życie swoje, policz grzechy swoje. Cóż mówisz o sobie? Musisz to powiedzieć, żeś dług wielki zaciągnął wobec Bożej sprawiedliwości, żeś Bogu winien dziesięć tysięcy talentów. Jakże się z tego przed Bogiem wyrównasz? Znoś bicze Boże cierpliwie. Woda z ciała brud zmywa, a utrapienia zmywają z nas kary za grzechy. Pamiętaj, że łatwiej tu pokutować, niż tam, w wieczności. Tu lata całe choćby w ucisku najsroższym łatwiejsze, niż tam tylko dzień jeden. Wołajmy więc z Augustynem świętym: „Tu mnie, Panie, siecz, tu karz, tu nie przepuszczaj, byleś mnie nie oddalał od Siebie".

Jakże więc? czy nie dobrze Bóg czyni, kiedy nas utrapieniem nawiedza? — Utrapienia te czynią nas pokrewnymi Jezusowi Panu, a chwała to wielka; one pokory nas uczą, bez której zbawić się nie można; one serca nasze odrywają od świata, a wznoszą do nieba; jeszcze nas i z kar oczyszczają, na jakieśmy zasłużyli za grzechy nasze. Dobrze więc mówi św. Augustyn: „Karania Boże, to łaski Boże".

Dodajmy do tego, że poznajemy w utrapieniach dopiero, czy my naprawdę Boga kochamy. Bo w szczęściu sobie powiadać: Boże, kocham Cię, nie sztuka, ale kto i w nieszczęściu to samo szczerze powiada, to sztuka. Znak to, że on prawdziwie Boga miłuje. Bo kochać Boga wtedy, kiedy nam się dobrze powodzi, znaczy, po żydowsku Go kochać, kto jednak i w złem powodzeniu serce swe blisko ma przy Bogu, ten kocha Go po chrześciańsku.

Przed śmiercią swoją Chrystus Pan, jako nasz Ojciec testament uczynił. Co za testament? Zapisał rozkosze i wesele niezbożnym w tem życiu, wybranym zaś swoim utrapienia i frasunki. „Zaprawdę, zaprawdę wam powiadam — mówi do Apostołów — iż będziecie płakać i lamentować wy, a świat się będzie weselił; a wy się smucić będziecie, ale smutek wasz w radość się obróci" (Jan 16, 20). I ciebie do wybranych swoich Pan Jezus zalicza, kiedy cię utrapieniem jakiem dotyka. I tamtego królika wybrał sobie Pan Jezus, dlatego chorobą ciężką syna jego nawiedził. I to go do Jezusa i do wiary przywiodło. Niechże i nas utrapienia nasze do Jezusa Pana zawiodą. Amen.

CHCIWIEC.

OPOWIEŚĆ LUDOWA SZWEDZKA.

Był pewien kmiotek, liczną obarczony rodziną, biedny bardzo, ale to tak biedny, że na przednówku, z powodu braku zboża żywił się grzybami i bedłkami. Nieszczęśliwy udawał się po zapomogę do zamożnego sąsiada, ale prócz szorstkiej odmowy, nic więcej nie zyskał; prosił o miarkę zboża na odrobek, ale napróżno. Strapiony odmową, powlókł się znowu do lasu, szukać bedłek, bo już grzybów nie stało.

Zajęty szukaniem nędznego pożywienia dla siebie i rodziny, spostrzegł idącego lasem dziwnie pięknego staruszka (był to anioł Boży, ale go kmiotek nie poznał). Biedak, ukryty w gęstwinie, widział, jak staruszek, przyszedłszy do pobliskiej skały, zapukał, mówiąc: „Drzwiczki, drzwiczki, otwórzcie się!" Jakoż ukryte drzwi otworzyły się, staruszek wszedł, a drzwiczki zatrzasnęły się za nim. Po chwili wyszedł i pomału udał się w stronę, z której przybył.

Zaciekawiony chłopek zbliżył się wtedy do owej skały i pukając, wyszeptał: „Drzwiczki, otwórzcie się!" I o dziwo, drzwi otwarły się! Wszedł głębiej i stanął osłupiały, obaczył bowiem w jaskini niezmierne bogactwa i usłyszał głos: „Bierz, ile chcesz, ale nie waż się przychodzić tu powtórnie." Zdjął tedy z siebie kapotę i nagarnął w nią z tych bogactw, ile unieść zdołał.

Słońce już zaszło, zmrok zapadł, gdy przybył do domu, a nie umiejąc policzyć skarbów przyniesionych inaczej, jak na miarę, której nie miał, wstąpił po nią do sąsiada. Sąsiad nie z dobrego serca, lecz z ciekawości, chętnie mu jej udzielił, myśląc sobie: „Zkąd ten nędzarz mógł dostać zboża? Dowiem się, gdy miarę odniesie". Jakoż nazajutrz póty stukał w przyniesioną miarę, czy nie wyleci z niej jakie ziarnko zboża, aż zdziwiony spostrzegł wypadającego ze szpary dukata. Zmiarkował tedy, że biedny jego sąsiad skarb znalazł, a że, chociaż bogaty, nadzwyczajnie był chciwy, jął go zręcznie badać, a wreszcie otwarcie prosić o wskazanie miejsca, gdzie się skarby owe znajdują.

Milczał biedak, przejęty trwogą, z powodu słyszanego w jaskini zakazu, aż znużony naleganiem uległ i wyznał, że rzeczywiście skarb znalazł, lecz ani sam więcej tam nie wejdzie, ani nikomu nie radzi. Nic jednak nie pomogły prośby i przedstawienia biedaka: żądny bogactw sąsiad tyle mu się uprzykrzał, aż wskazał zaklęte miejsce w lesie.

Rozpromieniony chciwiec, nabrawszy z sobą worów i worków, osobno na złoto, osobno na srebro, stanął przy skale i śmiało zawołał: „Drzwiczki,

otwórzcie się!" Drzwi uchyliły się. Wszedł coprędzej, lecz na wstępie struchlał z przestrachu, bo na niezmiernych skarbach leżał rozciągnięty pies czarny i ludzkim głosem dom przemówił: „Czy mało wczoraj nabrałeś pieniędzy? Czy nie mówiłem ci, abyś tu więcej nie przychodził?" Chciwiec przeraził się. W trwodze wielkiej zwrócił się ku drzwiom, z myślą ucieczki, ale znalazł je zamknięte. Trwoga zamieniła się w rozpacz... czarny pies z przeraźliwem wyciem rzucił się ku niemu, a jaskinia wraz ze skarbami i skąpym kmiotkiem zapadła się w ziemię.

Stałość w wierze.

Z krwawych dziejów niedawnych na Kaukazie, gdzie — jak wiadomo — dzicy Tatarzy znęcali się nad chrześciańską ludnością ormiańską, mordując ją i paląc jej dobytek, opowiadają następujące zdarzenie:

Drobna, wątła, blada, z twarzyczką rozjaśnioną pięknemi czarnemi oczami, okryta różnobarwnym szalem i odziana w białą wełnianą spódniczkę, Dina, stała na odłamku skały i oparta na kiju, patrzała na swą trzódkę, która pasła się opodal na trawie. Było około południa.

Wtem w dolinę wjechali jeźdźcy w pełnym galopie, ze wszech stron rozległy się dzikie krzyki, od strony miasta podniosły się rozdzierające jęki i zanim dziewczynka zdołała zdać sobie sprawę z tego, co się dzieje, porwał ją ktoś, uniósł ze sobą i posadził przed siebie na siodle. Koń popędził w szalonym biegu na równinę i zatrzymał się dopiero przed chatą, na pół ukrytą między drzewami.

Dziecko zdjęto z konia i wniesiono do domu, gdzie jakaś stara kobieta spoglądała na nie z zajęciem i pewnem zdziwieniem.

Człowiek, który przywiózł dziewczynkę, przemówił do niej:

— Dino, znam cię od maleńkiego dziecka, wszyscy, którzy wyznają twoją wiarę, zostali wymordowani. Chciałem cię ocalić... wyprzyj się swojej religii, zostaniesz moją żoną. Jestem wielkim wodzem, a ta chata służy do ukrywania mych bogactw, któremi się podzielę z tobą... Nie wahaj się... Wybieraj szczęście, jakie ci ofiaruję lub śmierć okrutną.

Podczas gdy Tatar to mówił, Dina zrozumiała wszystko. Tatarzy wyrzynali chrześcian, ona zaś zawdzięczała życie jedynie litości tego wodza tatarskiego. Wśród milczenia, jakie nastąpiło po przemówieniu jeźdźca, odezwała się łagodnym, lecz pewnym głosem:

— Wierzę w Boga i Jezusa Chrystusa, mego Zbawiciela.

Stara kobieta wyprowadziła ją wtenczas przed dom, pokazała jej krwawą łunę, jaka rumieniła się nad miastem i drogę, zasianą trupami pomordowanych chrześcian.

Tatar wyszedł także, mówiąc:

— Wyrzeknij się Chrystusa, albo umieraj!

— Wierzę w słowo Boże... Wszystko przemija tutaj... Bóg obiecał mi życie wieczne...

Stara zatrzymała rękę syna, podniesioną do zadania ciosu dziewczce.

— Chodź, — rzekła do niej i wprowadziwszy ją do chaty, pokazała utajone w murze stosy złota.

— Wyrzeknij się Chrystusa i bierz stąd, co ci się podoba.

— Jezus Chrystus daje koronę nieśmiertelną tym, którzy gardząc bogactwami, wierzą Jego słowu. Wierzę w słowa Tego, który umarł, aby nam otworzyć niebo.

Upadłszy na kolana, mała Dina mówiła dalej: „Panie Jezu, przyjmij mnie do Siebie".

W tej chwili spadł topór dzikiego Tatara, a głowa dzielnej dzieweczki potoczyła się na ziemię, znacząc krwawe ślady....

Liczne zastępy chrześcian ormiańskich oddały życie za wiarę, ponosząc okrutną śmierć z rąk dzikich Tatarów, a przykład odważnej dzieweczki przyświecać będzie pozostałym przez długie lata i zachęcać do wytrwania w wierze Jezusa Chrystusa, naszego ukochanego Zbawiciela.

Msze św. Gregoryańskie.

Trzydzieści Mszy świętych, odprawianych bez przerwy za dusze zmarłych, nazywamy Mszami Gregoryańskiemi. Początek ich sięga czasów św. Grzegorza Wielkiego I, Papieża. Mianowicie w księdze swej, zwanej „Dyalogami św. Grzegorza", opowiada ten Papież z własnego doświadczenia, co następuje:

W klasztorze św. Andrzeja w Rzymie znaleziono u jednego zakonnika, imieniem Justyna, ciężką złożonego chorobą, trzy złote dukaty, które wbrew regule i ślubowi ubóstwa, jako też bez pozwolenia przełożonych miał u siebie. Św. Grzegorz, podówczas opat tego klasztoru, zakazał wszystkim Braciom, z wyjątkiem tych, którzy mieli obsługiwać chorego, odwiedzać Justyna, a po śmierci pochować go nie w grobach klasztornych, lecz na śmietniku, i owe trzy dukaty dać mu do trumny. Justyn, bliski śmierci, chciał się polecić modlitwie Braci, lecz dziwił się, że żaden z zakonników nie przychodzi go odwiedzić. Dopiero brat jego rodzony, Copiosus, również zakonnik i lekarz, powiedział mu, że Bracia unikają go za owo wykroczenie przeciw ubóstwu. Żałował za ten błąd Justyn, i odprawiwszy dobrą spowiedź, zaopatrzony św. Sakramentami, w pokucie zakończył życie. Pochowany jednak został tak, jak św. Grzegórz nakazał.

Po trzydziestu dniach żal się zrobiło św. Grzegorzowi, że zmarły niezawodnie cierpi męki czyścowe. Wezwał więc Precyoza, przełożonego klasztoru, i polecił mu odprawić za Justyna bez przerwy 30 Mszy św. Wtem jednej nocy zjawia się Justyn swemu bratu Copiosowi, i na zapytanie jego, jak mu się powodzi, mówi: „Dotąd było mi źle, ale teraz mam się już dobrze, bom przyjęty został do wspólności z Bogiem". Gdy to Copiosus opowiedział Braciom, ci zaczęli liczyć dni i odprawione zań Msze św., i pokazało się, że w owym dniu właśnie odprawioną była trzydziesta Msza św.

Od tego wypadku, a więc już od czasów św. Grzegorza Wielkiego, rozszerzył się, osobliwie po klasztorach, zwyczaj odprawiania za zmarłych trzydziestu bez przerwy Mszy św. i pobożne przekonanie, że nabożeństwo to wielką pomoc lub wybawienie przynosi duszom czyścowym.

Benedykt XIV, Papież (1740—1758), nazywa ten zwyczaj bardzo dawnym i zbawiennym. Kongregacya św. Obrzędów w Rzymie w 1791 roku orzekła, że jeżeli kto w testamencie polecił, aby po jego śmierci odprawiono Msze Gregoryańskie

należy to życzenie sumiennie spełnić. Podobne orzeczenie wydała też Kongregacya 15 marca 1884 roku. Z tego, cośmy wyżej powiedzieli, wynikają następujące uwagi:

Msze św. Gregoryańskie mają początek i nazwę od św. Grzegorza W. I, Papieża (r. 590—604). Liczba ich wynosi 30. Odprawia się je nie za żywych, tylko za umarłych, i to nie za zmarłych wogóle, lecz za pewną oznaczoną osobę. Jest pobożne przekonanie, że Msze te są bardzo pomocne lub wybawiają z czyśca duszę zmarłej osoby. Dla tego wskazanem jest, aby odprawione były wcześnie lub zaraz po śmierci dotyczącej osoby. Odprawiane być muszą bez przerwy, dzień po dniu, i to najlepiej przez jednego i tego samego kapłana. Gdyby jednak tenże, w którym dniu miał przeszkodę, ma uprosić innego, by w tym dniu przypadającą Mszę św. odprawił. Nie jest konieczne, by odprawiane były o tym samym czasie, w tym samym kościele i przed tym samym ołtarzem, chyba że ofiarujący to sobie zastrzeże. Wskazane jest, aby, ile możności odprawiane były przed ołtarzem uprzywilejowanym.

Stary kapitan z Saint-Cyr.

W szkole wojskowej w Saint-Cyr, na krótko przed rokiem 1830, był kapelanem mąż wyższego ducha i zdolności, nazwiskiem Rigolot. Odbywał on z wychowańcami tej szkoły duchowne ćwiczenia i w tym celu zgromadzał ich co wieczór w kaplicy przed udaniem się na spoczynek.

Gdy kapłan ów skończył raz wieczór swój wykład, w którym mówił o karach piekielnych i ukończył zwykłe modlitwy, wziął świecę i chciał się udać do swego pokoju, znajdującego się w skrzydle, które było przeznaczone na mieszkanie oficerów. Otwierając drzwi do siebie, usłyszał, iż go woła osoba, idąca za nim przez schody. Był to stary kapitan, szpakowaty i niezbyt ujmującej powierzchności mężczyzna.

— Daruj, księże kapelanie, — przemówił z lekką ironią, — ale muszę ci przyznać, że mówiłeś bardzo pięknie o piekle. Zapomniałeś tylko powiedzieć nam, czy w piekle będą nas smażyli, piekli lub gotowali? Czy nie możesz mi tego powiedzieć?

Kapelan wiedząc dobrze, z kim ma do czynienia, spojrzał mu bystro w oczy, podsunął mu świecę pod nos i powiedział spokojnie:

— O tem się sam najlepiej przekonasz, kapitanie!

I zamknął drzwi za sobą, uśmiechnąwszy się z lekka na widok przestraszonej miny biednego kapitana.

Nie myślał już o tem: ale odtąd zauważył, że kapitan unikał starannie spotkania się z nim.

Wybuchła rewolucya lipcowa. Usuwano zewsząd kapelanów wojskowych, a ks. Rigolot otrzymał od Arcybiskupa inne, niemniej zaszczytne stanowisko.

We dwadzieścia lat potem znajdował się czcigodny kapłan w pewnem licznem i doborowem towarzystwie — gdy w tem zbliża się do niego stary, siwowłosy wojskowy — kłania mu się uprzejmie i pyta, czy on jest księdzem Rigolot, który niegdyś był kapelanem w Saint-Cyr. Gdy się dowiedział, że tak było w samej rzeczy, wzruszył się stary żołnierz mocno i rzekł:

— Ach! wielmożny Ojcze pozwól, że ci uścisnę dłoń i podziękuję, gdyż tyś mnie ocalił!

— Ja?... a to w jaki sposób?

— Czy mnie nie poznajesz, Ojcze? Czy sobie już nie przypominasz starego kapitana, który był nauczycielem w szkole wojskowej i który po pewnem kazaniu o piekle zadał ci jedno bezczelne pytanie, na które odpowiedziałeś w ten sposób, że podsunąwszy mu świecę pod nos, dodałeś:

— O tem się sam przekonasz najlepiej, kapitanie!

Otóż to ja jestem owym kapitanem. Od tego czasu prześladowały mnie wszędzie te słowa; myśl, że dostanę się do piekła i będę wiecznie gorzał, nie opuszczała mnie ani na chwilę. Dziesięć lat walczyłem z nią: ale ostatecznie musiałem kapitulować. Wyspowiadałem się, stałem się dobrym chrześcianinem. Waszej Wielebności zawdzięczam spokój i szczęście moje i cieszę się niewymownie, że spotkałem się z Wielebnym Ojcem i mogę Mu to oznajmić!

Z pieśni litewskich.

„Czegoś smutny ojcze stary?“
— „Wyprawiłem syna mego,
Wyprawiłem na Tatary
Syna mego jedynego.
Wąs mu jeszcze nie wypłynął
W pierwszej teraz będzie bitwie,
Drży mi serce, by nie zginął
Lub nie zrobił wstydu Litwie“.
„Śmiało, synu mój,
Przy chorągwi stój!
Myśl o kraju, nie o sobie.
A jeźli cię zły los spotka,
Za ojczyznę śmierć jest słodka,
Będziesz wspominan w grobie“.

Powrócili towarzysze,
Powrócili przyjaciele.
— „Gdzie jest syn mój? niech usłyszę!“
— „Syn twój wszędzie jest na czele,
Gdzie proporzec swój rozwinie,
Gdzie się mieczem swym zamierzy,
Krew tatarska rzeką płynie,
Broń tatarska mostem leży“.
— „Dobrze, synu mój!
Walczysz za kraj swój,
Chwała mnie i tobie!
Choćbyś zginął, dosyć żyłeś,
Jeźli żyjąc zasłużyłeś
Być wspomnianym w grobie“.

— „Ciesz się, starcze! W synach Litwy
Pamięć twego nie zaginie.
Kurhan jego w polu bitwy
Jako góra na równinie.
Nie z darniny, lecz z turbanów
Nie z kamieni, lecz z głów Hanów,
Nie z piasku, ale z popiołu
Jeńców spalonych pospołu“.
— „Dzielnie, synu mój!
Ległeś za kraj swój.
Kraj płacze na twym grobie!
Jak się twą chwałą nacieszę,
Ja też za tobą pospieszę
Powiedzieć o niej tobie“.

A. E. Odyniec.